Jesienne wydmy łebskie

2016-10-28



Czyli gdzie czerwie mówią dobranoc.

Nasi dobrzy znajomi z Gdyni – Alicja i Ryszard Wrzosek przesłali nam informację o wycieczce do Słowińskiego Parku Narodowego. Po szybkiej i zgodnej naradzie postanowiliśmy wziąć w niej udział. Jako, że trasa przemarszu była za długa dla małych nóżek Andrzejka, miał on zostać pod opieką babci (lub vice versa). Na wyjazd z nami zabrała się Ada.

Wstając bardzo wcześnie rano, a w zasadzie niemal w połowie nocy – zbiórka w Gdyni miała być o godzinie 7^{00} – mieliśmy duże wątpliwości, pogoda była mocno deszczowa. Mimo tej „przeszkody" dotarliśmy na dworzec, gdzie po zajęciu miejsc w pociągu, część poszła dosypiać, część męczyła zwierzęta na komórce, a trzeci element zajął się czytaniem. Dzięki temu droga do Gdyni przebiegła szybko i spokojnie.

Gdynia przywitała nas pustymi ulicami, na szczęście nie padało. Punkt zborny był przy Kościele Najświętszego Serca Pana Jezusa – bardzo blisko dworca PKP. Po krótkim marszu, w czasie którego Ada odrabiała zadaną w szkole pracę domową - to nazywa się poświęcenie w imię nauki :-) - fotografowała ulice. Cóż szkoła nie typowa (Liceum Plastyczne), to i nie typowe zadania.

Po przywitaniu się z Wrzoskami i innymi uczestnikami wycieczki, zajęliśmy miejsca w kolejnym środku transportu – autobusie. Dziewczyny stwierdziły, że zajmujemy tylne siedzenia, tam można się ponownie położyć. Czekały nas kolejne dwie godziny jazdy – tym razem do Smołdzina.

Tuż po wyruszeniu Ryszard zakomunikował nam o zmianach w programie. Niestety do parku pojechać nie mogliśmy, odbywało się tam spotkanie Rady Programowej Parku. :-(Zamiast tego pojechaliśmy do Łeby, zobaczyć słynne wydmy. Ala i ja już je widzieliśmy - **Wędrując po wędrujących wydmach**, ale

dla Ady miała być to nowość.

Droga upłynęła nam szybko, słuchaliśmy różnych ciekawostek o terenie który przemierzaliśmy, ani się spostrzegliśmy, a trzeba było wysiadać w Rąbce. Tam w Filii Muzeum Przyrodniczego wysłuchaliśmy Pani Przewodnik, która z pasją opowiadała o tworzeniu się wydm, oraz florze i faunie na nich występujących. Jako że sama opowieść to za mało, udaliśmy się zobaczyć wydmy na własne oczy. Padła przy tym propozycja, aby do wydm przejechać na meleksach, a wrócić na własnych nogach. Rąbkę od wydm dzieli około 6 kilometrów, czyli mniej więcej godzina drogi.

Skoro jednak wszyscy chcieli jechać, to i my pojechaliśmy. Co prawda cena przejazdu trzech osób była nieco większa niż podróż analogicznej ilości osób na trasie Elbląg – Gdynia, ale czasami tak trzeba. W tym momencie Ada się popisała i wyciągnęła z rękawa, nie asa, ale kartę dużej rodziny, załatwiając nam zniżkę i to o 50%! Dobrze, że ją z sobą zabraliśmy. :-)

Jazda przebiegła szybko, ale wiatr wciskał się za kołnierze, a że był zimny, nie było to zbyt przyjemne. Wydmy wyglądały inaczej, niż poprzednim razem. Owszem inna była pora roku więc i światło inne, niebo było zachmurzone, ale przede wszystkim, oprócz nas, nie było żadnych turystów. Poprzednio było ich jak sardynek.

Po krótkim wykładzie Pani Przewodnik udaliśmy się na chwilę w stronę morza. Uśmiech pojawił mi się na twarzy – uwielbiam nasze morze. Tam po zrobieniu pamiątkowego zdjęcia wróciliśmy przez wydmę Łącką, ale nie wsiadaliśmy do meleksów, tylko udaliśmy się w stronę byłej wyrzutni rakiet, gdzie skręciliśmy w stronę jeziora Łebsko. Na jego pomoście dorwała nas lekka mżawka, ale nie przeszkodziło nam to wysłuchać kolejnej opowieści Pani Przewodnik. Tym razem było jak próbowano osuszyć jezioro i jak morze to uniemożliwiło.

Z przystani przeszliśmy drogą na plażę, powrót do Rąbki był zaplanowany brzegiem morza. :-) Jednak droga nie była taka łatwa, moją Alę dorwał ciężki atak choroby Fungi Photos Filia – MUSIAŁA zrobić zdjęcie KAŻDEMU napotkanemu grzybowi, a że jest jesień, Park Narodowy, gdzie grzybów się nie zbiera, były ich całe legiony. Dobrze, że nie miała ona dyktafonu – z każdym przeprowadziła by jeszcze wywiad. :-) W każdym razie zamykaliśmy grupę. :-) Ada skupiła się bardziej na co ciekawszych drzewach i choć w lesie więcej jest drzew niż grzybów, migawka w jej aparacie rzadziej się odzywała.

Przemarsz plażą był czystym relaksem, lekko wilgotny piasek w którym się nie zapadały stopy, pusto – turyści jakoś nie chcieli się opalać, spokój i uspokajający szum morza. Ani się człowiek spostrzegł, a był już u celu, w Rąbce, gdzie czekał na nas obiad, trzeba jakoś zregenerować siły.

Posiłek był ostatnim punktem wizyty w Słowińskim Parku Narodowym, udaliśmy się więc z powrotem do Gdyni. Tym razem nikt nie umilał nam czasu snując opowieści, ale kolejna podróż minęła szybko.

W Gdyni mając sporo czasu do powrotnego pociągu, postanowiliśmy Adzie pokazać Maraję, niestety nie było jej w marinie, pewnie gdzieś sobie zimuje w ciepłych krajach (jak się dowiedziałem od Pana Andrzeja, jest ona w Jastarni – wypoczynek się każdemu należy :-)).

Pokręciwszy się jeszcze chwilę po Gdyni, udaliśmy się na dworzec PKP, gdzie po zajęciu miejsca w pociągu, po dwóch godzinach byliśmy w Elblągu.

Wyprawa dodała nam sił i pozwoliła na spokoje wygadanie się.

Artur Wyszyński